

EUGENJUSZ MAŁĄCZEWSKI

DZIEJE BAŚKI MURMAŃSKIEJ



EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI

DZIEJE BAŚKI MURMAŃSKIEJ

HISTORIA BIAŁEJ NIEDŹWIEDZICY

Wydawca: Miasto Nowy Dwór Mazowiecki
oraz Lokalna Organizacja Turystyczna Trzech Rzek

Rysunek Bałki Murmańskiej: Mateusz Kozieł (koziel.mat@gmail.com)

Projekt oraz skład DTP: www.grupastart.pl

Przygotowanie tekstu: Elżbieta Wiercińska, Bartosz Rogiński (korekta)

Zdjęcia wykorzystane w broszurze: Tygodnik Ilustrowany z 1 stycznia 1920 r.
(autor fot.: Saryusz-Wolski) w posiadaniu Macieja Kostrzewskiego, właściciela Garnizonu
Wydzielonego Wojska Polskiego Nowowilejka (ul. Gałachy 2, Zakroczym; tel: 0 22 785 22 70)

Zdjęcie na tylnej okładce: Marek Jakuczek

Więcej o Bałce: www.baskamurmanska.pl, www.facebook.com/baskamurmanska

Centrum Informacji Turystycznej

ul. Bałki Murmańskiej 164

05-160 Nowy Dwór Mazowiecki

(22) 713 32 79

3rzeki@3rzeki.pl

www.3rzeki.pl

Czynne:

maj – wrzesień: wtorek – niedziela, godz. 9 – 17

październik – kwiecień: poniedziałek – sobota, godz. 9 – 16

Egzemplarz bezpłatny



Dzieje Bałki Murmańskiej.

I.

Zanim Warszawa ujrzała ją na Placu Saskim, dzieje żywota jej były epickie, jak wędrówka „kaniowczyków”¹ do kraju przez Murmań², a rozgrywały się na tle egzotycznym, tam gdzie foki są czymś tak rozpowszechnionym, jak w Polsce zwyczajne prosięta, gdzie zamiast Maćkowej gruszy moroszką z klukwą³ rośnie, niewiasty zaś paradują w spodniach z futra i, nigdy się nie myjąc, wysmarowane zawsze tranem rybim, lśnią się na glanc.

Bohaterka mej opowieści urodziła się na Oceanie Lodowatym, o 250 mil morskich od zaśnieżonego lądu, na wielkim złomie kry, płynącej niby tratwa kryształowa z powolnym prądem mórz podbiegunowych.

Wydała ją na świat wspaniała macierz, królewski okaz białej niedźwiedzicy, mającej 2 m.69 cm. wzrostu od nosa do ogona, a od ogona do nosa – drugie tyle, i porosłej śliczną, śnieżną sierścią, podobną do bujnego runa kóz angorskich.

Tak się złożyło, że Niedźwiedziówna (w pół roku potem przez legionistów polskich nazwana Bałką), ojca swego nigdy nie poznała.

A był to niedźwiedź osobliwy.

Miał w sobie coś z nieuleczalnych tęsknot Robinzona, coś niecoś z odkrywczych ambicji Kolumba. Macierz Bałki nie potrafiła swego małżonka do siebie przywiązać. W starym niedźwiedziu drgała niepocziwa żyłka obieżyświata, pokutował w nim wielki nicpoń i niebywały leń. Jak na bestję polarną⁴ był to stanowczo za duży kawał romantyka i fantasy.

Posiadał siłę niezwykłą, więc gdyby chciał, mógłby sobie polować na młode wieloryby.

Stale jednakowoż włóczył się o głodzie, bo wbrew zwyczajom rodowym i plemiennym, całkiem nie uśmiercał fok, będących dla niedźwiedzi białych pożywieniem głównym, lecz zaczął się dłaczegoś na lotne mewy. Wywiesiwszy ze zmęczenia półłokciowy jęzor szkarłatny, z pyskiem do nieba zadartym, krwiożerczo kłańcąc⁵ paszczą straszliwą, godzinami całemi ścigał kulejącym cwałem te ptaki, z żadnym, oczywista, skutkiem. To też jego pokarm powszedni składał się zazwyczaj z rozmaitej zdechlizny morskiej, którą ocean w czasie przypływu na brzeg wyrzuca.

Tym oto trybem zbiegło ojcu Bałki pomyłone jego życie. Aż zdarzyła się chwila, gdy do połowicy swej poczuł taką abominację nieznośną, a zarazem wezbrało w nim tyle nagłej, porywczej, iście bestialskiej tęsknoty włóczęgi naprzelaj, wszystkimi morzami polarnymi, – że z kry, na której podróż poślubną odbywali, spełził cichcem do morza i dał stułokciowego nura.

A gdy łeb z wody wynurzył, to nie obejrawszy się nawet, popłynął, gdzie oczy poniosą, z rozsadzającym włochatą pierś porykiem zwierzęcego szczęścia. A parskał raz po raz, niby ochoczy koń w biegu, na dobrą wróżbę.

I prując z łatwością olbrzymiem cielskiem bałwany morskie, na kształt torpedy idącej pierwszym impetem, płynął wprost do północnego bieguna.

Bo mu się tak spodobало. Tyle go widziano.

¹ Kaniowczycy – żołnierze legioniści z brygady Karpackiej, którzy przebili się pod wodzą brygadiera Hallera przez szeregi prusko – austriackie w roku 1918 i przeszli na Ukrainę. Tam przez Niemców osaczeni zdradziecko i pobici pod Kaniowem.

² Murmańskie wybrzeże w Rosji północnej na półwyspie Kola nad Oceanem Lodowatym.

³ miejscowe nazwy żurawiny i dzikiej maliny.

⁴ polarny – biegunowy, mający styczność z którymś z biegunów ziemskich.

⁵ kłańcąc – kłapiąc.

II.

Baśka przysła na świat w pięknym futerku białym, z pyszczkiem pełnym śpiczastych zębów i mocnych, jak u młodego psa; zaś w łapach, zakończonych niedołącznemi jeszcze pazurami, przyniosła właściwą swemu gatunkowi, wrodzenie doskonałą umiejętność bytowania w żywiole wodnym, na wzór ptactwa morskiego, które posiada sprawność pływacką w upletwionych nogach od chwili wyklucia się z jajka.

Stara niedźwiedzica w chwili po rozwiązaniu czuła się tak dobrze, jakby nie położnicą była, ale noworodkiem; kwestja przyzwyczajenia odbywać połogi w szczerem morzu, pod gołem niebem, na posłaniu z pękających lodów, w temperaturze R. 45° niżej zera. I natychmiast wstąpił w nią duch wojowniczy, zażarty, rozjuszony, jakiego wnet nabierają te łagodne w istocie stworzenia, skoro tylko wywiodą małe.

Tegoż jeszcze dnia wypadło matce i córce puścić się wpław przez ponure, rozbałwanione wielkim wiatrem morze, aby się dostać na najbliższy ląd.

Zmusił ich do tego wypadek, mający wszelkie znamiona katastrofy żeglarskiej.

Oto lodowa tratwa, na której płynęły, nadwerężona nieustannym szturmem fal, rozpękała się niespodziewanie na kilka kawałków, niezdatnych wskutek pomniejszenia tonażu¹ do niedźwiedziej nawigacji². A dokonało się to z traskiem, przypominającym wiwatowy wystrzał armaty średniego kalibru.

Rozbitkinie, zanurzone nagle po same dziurki nosów w pienne się odchlisko słonej wody, musiały niezwłocznie, bez dłuższych namysłów, wybierać między dwoma najbliższymi punktami oparcia, jakie im w nowej sytuacji pozostawały. Pierwszy – znajdował się o 250 mil morskich na lądzie stałym, drugi – tuż pod nimi wprawdzie, o 3000 stóp tylko, ale – na dnie oceanu. Wybrały drogę dłuższą.

Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o płewiastych, załamanych grzbietach toczyły się jeden po drugim nakształt lewiatanów³, przewracających się wśród ciężkiego pluskania z boku na bok. Ryczało morze, ryczała wniebogłosy stara niedźwiedzica, borykając się z nawałą. Baśka, uczepona ze wszystkich sił pyszczkiem do kosmatego uda matki, zamknawszy szczelnie swe szczenięce jeszcze, nawpół ślepe oczka, płynęła niby łódka holowana przez statek. Na progu życia poznała, co to jest wielki strach.

Po czterdziestu ośmiu godzinach walki z wiatrem, wodą i przestrzenią, wydostały się wreszcie na upragniony ląd. Śnieg, leżący tam grubemi zaspami, wydał się im czemś tak wygodnym i błogiem, jak zdrożonemu włóczędze – ciepła pierzyna. Od razu zakopały się w nim z głową i spędziły dwie doby bez ruchu. A pomimo wielkiego odrętwienia czuły w sobie dotkliwie wszystkie swe kości naraz i każdą zosobna.

Jeszcze po tem epickim⁴ exdus⁵ nie zeszedł tydzień czasu, a już rozpoczęła się edukacja Baśki.

Cała nauka polegała na praktycznem poznaniu dwu umiejętności: myśliwstwa i sztuki pływackiej. Jakkolwiek tak szczupły zakres wiedzy z ludzkiego punktu widzenia może się zdawać czemś bardzo łatwym do osiągnięcia, nie należy zapominać, że każdy z dwóch działów nauki niedźwiedziej rozgałęzia się z kolei na tyle różnych „przedmiotów”, ile się ich wykłada w gimnazjum klasycznem z uniwersytetem łącznie. Nadto istota ludzka, pomimo najświetniejszego ukończenia tych klasycznych uczelni, byleby tylko uzyskała odpowiedni dyplom, może być przez całe życie najklasyczniejszym bałwanem, a jednak posiadać szacunek blźnich i uściele sobie żywot aksamitny, podczas gdy niedźwiedź polarny swoje dwa działy wystudjować musi rzetelnie, aby właśnie w swem środowisku za bałwana nie uchodzić, boby

stale puchnął z głodu i zjadłby go łagodne cielęta morskie⁶, a mewy⁷ zadziobały żywcem.

Baśka, podobnie jak wielu sławnych ludzi w dzieciństwie, nie zdradzała w początkach edukacji ani wybitnych zdolności, ani tem bardziej zbytniego do nauki zapału. Sprawiała raczej wrażenie istoty nad wiek nierozwiniętej, ospałej, a do tego mocno krnąbrnej. Niedźwiedzica – matka nie szczędziła jej przeto upomnień wielce dotkliwych, wymierzanych doraźnie łapą rodzicielską. Od takiego upomnienia, któreby pogruchotało w drzazgi najtęższą ławę szkolną, leciały z Baśki kłaki, i rozlegał się kwik, jakby ją ze skóry obdzierano. Ale przecie miało to swój dobry skutek, i uczennica pod okiem roztropnej nauczycielki zaczęła robić widoczne postępy.

Nie upłynęło trzech miesięcy, a Baśka najzupełniej poprawnie umiała sztukę podchodzenia fok. A niełatwa to jest rzecz, – pochodzenie fok – jeśli się zważy, że niedźwiedź biały jest wprawdzie biały, ale nos ma czarny. I Baśka w tym względzie nie była wyjątkiem wśród swych siostrzyc i braci. Od stóp do czubka głowy napuszyście biała, niby chodzący stóg waty, nie różniła się barwą od dziewiczych śniegów, wkrąg rozpostartych w mleczną pustynię, ale jej nasek wyglądał tak, jakby przed chwilą wyjęła go z kałamarza.

Gdyby nie czarny nos, tamecznym niedźwiedziom nicby nie brakowało do zupełnego szczęścia. W kraju, gdzie dobry Bóg calutki świat wytapetował na białe, nos o barwie czarnej jest w życiu dużą zawadą. Foka, – głupie to wprawdzie i głuche bydlę, – ale widzi dobrze i czarnego punktu, który się ku niej ostrożnie posuwa, bardzo nie lubi i zaraz daje nura do morza, gdzie jest panią sytuacji, gdyż pływa lepiej od swych białych tępicielei.

Dlatego to podchodzenie fok u niedźwiedzi białych jest kunsztem nielada. Gdy kudłaty myśliwy zbliża się do swej ofiary na kilkadziesiąt stóp (a robi to kołując, z miną głupia frant, jakby go foki całego świata nic nie obchodziły, ba ! jakby o istnieniu ich nigdy nie słyszał), – dalej poczyną czołgać się na trzech łapach, a czwartą – nos zasłania sobie chytrze. Te ostatnie kilkadziesiąt stóp przepełza w parę, czasami w kilka godzin czasu, skradając się z istic złodziejską ostrożnością, aż przysunie się na odległość, którą przesadza paroma skokami. Dopiero wtedy może być pewien, że mu łup nie ujdzie.

Z tych powodów zdobycie umiejętności zasłaniania nosa na łowach jest w gromadzie niedźwiedziej niejako tem, czem – matura szkolna w społeczeństwie ludzkim: kończy się szczeniakiem, zaczyna niedźwiedź.

Pod wpływem częstych „upomnień” matki, Baśka tę umiejętność osiągnęła w stopniu dostatecznym. A ponieważ tę wiedzę wpajano w nią bardzo gorliwie, poczuła wkońcu wielki wstyd, że ma wogóle nos, i poczytywała go sobie za jawną sprosność której należy wstydzić się nade wszystko.

Warto było zobaczyć Baśkę na ćwiczeniach łowieckich, gdy pod okiem macierzyńskim czołgała się do zabitej uprzednio foki, zasłaniając szczelnie swój czarny nasek. Robiła to gestem białej łapki, tak wdzięcznym i wstydlivym, jaki się widzi tylko na obrazie – u Zuzanny, wychodzącej z kąpeli.

W owym czasie jeszcze większe postępy poczyniła Baśka w sztuce pływackiej. Na tem polu przewyższyła wkrótce wszystką rówieśną sobie młodzież. Cudny to był widok ujrzeć ją zażywającą kąpeli.

Szkoła pływacka mieściła się w małej zatoce, którą tworzył Ocean Lodowaty, wrzynając się w ląd rozległym półksiężycem zielonej wody. Pochyły brzeg, cały w śniegu, otaczał szmaragdową zatokę, jakoby szerokim srebrnym sierpem. Wylot ku morzu zagrodzony był potężnym murem lodozwałów, podobnych do ruin fantastycznej fortecy, przed wiekami postawionej z gór marmurowych i jakiegoś przezroczyściego kamienia.

W obrębie tych kilku mil niezamarzającej wody odbywały się pływackie popisy kilkudziesięciorga niedźwiedziąt obojej płci. Maciory patrzyły na widowisko, rozsiadłszy się na brzegu,

jak matrony na kanapie. Młodociane pociechy używały tymczasem kąpeli, parszając jak tabun żrebaków, rycząc jak stado cieląt i czyniąc zgiełkliwy kwik a chrząkanie na podobieństwo owych dwóch tysięcy nierogacizny, o których stoi w Piśmie, że „wielkim pędem wpadły zprzyskra do morza”.

W gromadzie kąpiących się niedźwiedziąt Baśka wyróżniała się zręcznością i wdziękiem. Nikt nie nurkował tak, jak ona. Gdy mając na grzbiecie kilka stóp przezroczej, jak dym, wody, przesywała sobą wodne głębie, rzekłbyś – pocisk, zrobiony z wielkiej głowy cukru, idzie na dno kamieniem. W chwilę już potem kołysała się łagodnie na powierzchni zatoki, nakształt bałwana, ulepionego ze śniegu przez igrające dzieci. Albo płynęła wielkimi zygzakami, sterując się z łatwym wdziękiem, niby białe łabędź po stawie.

Nikt też, tak jak ona, nie potrafi „robić chryzantemy”⁸. „Robienie chryzantemy” w sztuce pływackiej u niedźwiedzi polarnych jest tak samo szczytem umiejętności, jak zasłanianie łapą nosa – w myśliwstwie.

Sztuka polega na tem, żeby złożyć wszystkie cztery łapy do kupy, wielki palec do wielkiego palca, zgiąć grzbiet w pałąk i, oddawszy się całkowicie wartowi prądu morskiego, płynąć bez najmniejszego ruchu, z wytkniętymi nad wodę nozdrzami. Takie ułożenie ciała daje doskonałą równowagę i pozwala płynąć bez najmniejszego wysiłku po kilka dni z rzędu. Setki mil można w ten sposób przebywać z łatwością, trzeba tylko dobrze orjentować się⁹, którędy jaki prąd płynie, gdyż prądy, jak wiadomo, krzyżują się w oceanie, niby linje tramwajowe w dużym mieście. Niedźwiedź, podróżujący z łapami razem złożonymi, z grzbietem w pałąk zgiętym, gdy łagodna woda jego długą sierść rozczesze i porozdziela, jakby wciąż powiewające pukle, podobny jest do rozczochranego kwiatu białej chryzantemy, oderwanej od łodygi i płynącej bezdrożami.

Ponieważ nie wiem, jak takie pływackie clou¹⁰ nazywa się w języku niedźwiedzim, nazywam je poetycznie „robieniem chryzantemy”.

Wypluskawszy się dowoli w zimnej jak lód wodzie, Baśka wynurzała się z nadbrzeżnej piany, nieskazitelnie biała i pojętna, niby Venus¹¹ tamtych krain. Siadała w kucki na śniegu, wpięrow przetarłszy i wymiętosiwszy go sempiterną, żeby się móc usadowić wygodnie. Przytem dymila z mokrego futra w mroźne powietrze kłębam pary, niby pęknięty piec kaflowy. Siedząc tak i parując, oddawała się marzeniom.

Marzyła, jak marzy dziecko ludzkie, zanim pierwszy raz poczuje, że czuje, i pomyśli, że myśli. Czasami w jej marzeniach bezosobistych, powolnych jak tętno natury podbiegunowej, powstał obraz, którego nie rozumiała, wspaniała jak rozblask zorzy borealnej¹².

Wzruszenia przedziwne podnosiły się z dna jej duszy, niby owe pęcherze powietrza, które z dna poruszonej wody rosną ku powierzchni sznurami jakoby szklanych paciorków, niżących się na niewidzialną nitkę. Czuła wówczas, że coś łechce ją w gardzieli, coś łaskoce w nozdrza. Więc poczyniała kichać po kilkadziesiąt razy, raz po raz.

Baśka, jak się tylko wzruszyła, rozpoczynała zaraz kichać. Brano jej to za złe. Kichanie wydawało się gromadzie niedźwiedziej dziką nieobyczajnością, jak w ogóle wszystko, co nie było w zgodzie ze zwyczajami, uświęconymi wśród niedźwiedzi od dnia założenia północnego bieguna. Baśka od zwyczajów odbiegała, gdyż w przeciwieństwie do rówieśnic była skłonna do silnych wzruszeń bez powodu, a w następstwie tego – do kichania.

Wynikły stąd poważne zatargi z otoczeniem, a zwłaszcza ze starą niedźwiedzicą, która, chcąc Baškę od nieobyczajnego zachowania oduczyć, nie szczędziła bolesnych razów łapą, uzbrojoną w pazury, zdolne jednym ciosem oskalpować lwa.

Rozterka rosła, Baśka czuła się coraz gorzej, coraz więcej obco wśród swoich. Poczęły w niej kielkować instynkty, odziedziczone po ojcu. Nie mogła się oprzeć dziedzicznej tęsknocie do czegoś, co nawet w języku ludzkim nazwane być nie może.

Na schyłku jednego z parugodzinnych dni podbiegunowych, gdy nad zatoką zachodziło słońce, Baśka stała na brzegu, ciałem podawszy się naprzód, z wyciągniętą szyją i podniesioną głową. Patrzyła na zachód, w krwawe i fioletowe luno. Lodowce, odgradzające zatokę od pełnego morza, kwitły kolorowym blaskiem, jakoby pokryte wiszącymi grzędami hiacintów. Woda wyglądała, jak jeden wielki ogon pawi, po którym niezliczone iskiere mrowiły się i podskakiwały, nakształt brylantowych pchelek.

Było tak pięknie i smętnie i wzruszająco, że Baśka zaczęła kichać, jak z baterji¹³.

Poczem rzuciła się wpław ku dalekim lodowcom. Płynęła do słońca. Nim zaszło, była na pełnym morzu.

Natknęła się wkrótce na silny prąd. Zrobiła więc „chryzantemę” i ułożyła się do snu.

Żadna moc nie zdołałaby jej teraz zawrócić z drogi. Czuła bowiem do własnej matki taką niechęć, jak ongiś jej ojciec, stary morski włóczęga.

Zniknęły brzegi. Samotny, wspaniały ocean leżał dokoła, jak okiem rzucić, i kołysał wełnę swoich fal. Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrnymi taśmami. Zapadła głucha noc.



¹ tonaż – pojemność danego okrętu, to- co może on unieść bez zatonięcia.

² nawigacja – żegluga.

³ lewiatan – bajeczny potwór morski.

⁴ epicki – opowiadający, mający związek z poezją epicką, t. j. opowiadającą.

⁵ exodus – koniec, wyjście, tu odnosi się do podróży wśród lodów.

⁶ ciele morskie – gatunek fok.

⁷ mewa - ptak morski.

⁸ chryzantema, albo chryzantem, gatunek kwiatu.

⁹ orjentować się – zdawać sobie sprawę z danego położenia.

¹⁰ clou – po francusku = gwóźdź; tu w znaczeniu przenośnym = coś najciekawszego.

¹¹ Venus – bogini piękności, urodzona z piany morskiej (u starożytnych Greków i Rzymian).

¹² borealna = północna. Zorze północne bywają pełne blasku i długotrwałe.

¹³ baterja – pewna ilość armat, zebranych razem.



GOŚĆ Z MORZA BIAŁEGO.

Biała niedźwiedzica polarna, upolowana przez murmańczyków w tundrach Archangielska, oswojona i przywieziona do Polski



MURMAŃCZYCY W SWOICH STROJACH PODBIEGUNOWYCH.

III.

W przedwiośnie r. 1919—go Archangielsk nad Białym Morzem¹ był okupowany przez Entantę², która pod kunktatorskim³ dowództwem Anglików i na ich wikcie zamierzała zdobyć Rosję od północy, powywieszać na latarniach ówczesnych czerwonych władców Kremlu, a przede wszystkim zrobić dobry interes na eksploatacji bogactw naturalnych tego kraju. Koniec wyprawy był mniej świetny, niż początek. Entanta wyszła na tym kupiecko – militarnym interesie, jak nasz przysłowiowy pan Zabłocki na mydle. Ale stało się to dopiero w sześć miesięcy później.

W czasie zaś, kiedy zaszły wypadki, o których mowa niżej, Archangielsk był mocno obsadzony załogami wojskowymi niemal całego świata. Oczywiście nie brakło i Polaków, bo gdzie tylko dwóch się bije, tam zawsze Polak trzeci chętnie łba nadstawi.

Na pryncypalnej⁴ ulicy miasta w godzinach południowych wzrastał się ruch pieszy. Był to czas spotkań i spacerów. Po chodnikach skleconych z deszczulek, ruchomych jak klawiatura i nagle podbijających stopę przechodnia, niczem djabełska trampolina⁵ przechadzali się zamorscy zdobywcy w towarzystwie dam – tubylek, które niewykwinną prostaczość swych stroików wyrównywały urodą lic, mieniących się na mrozie barwami krwi i mleka, zaś urodę samą podnosiła ta jeszcze okoliczność, że na sto młodych wojowników wypadła w tym mieście jedna tylko kobieta.

Szli tedy po zdradzieckich chodnikach szczudłonodzy, robiowardzy i rudowłosi Brytańczycy⁶ z anglosaską flegmą, malującą się na twarzach ściągłych, rzemiennych, jak pasek do wycowania brzytwy. Ze swobodną dystynkcją przechadzali się Francuzi, we włożonych na bakier, z okrutną fantazją, aksamitnych beretach⁷ strzelców alpejskich. Amerykanie spacerowali bądź z fajką, bądź z kawałkiem czekolady w zębach; zjadali ją, idący, nie krępując się, z naturalną swobodą dzieci, wracających ze szkoły. Prócz nich byli tu i Serbowie, i Kanadyjczycy w uszaty czapach i mokasenach⁸ indyjskich, oraz bersaljerzy⁹ włoscy, którzy z obfitości upierzenia na hełmach wyglądali, jakby na ich głowach rozczapierzona kokosz, nastroszywszy się, wysiadywała jaja.

W głębi jednego z zaułków, prowadzących do głównej ulicy, ukazało się kilku młodych wojskowych. Mieli na sobie zawadjacko załamane maciejówki z legionowymi orzełkami, tudzież płaszcze koloru khakki¹⁰, wdziane po leguńsku, z pewną artystyczną niedbałością, która zdradzała ciążenie ku elegancji w stylu wyraziście nadwiślańskim.

Jeden z młodzieńców, w szarży podchorążego, miał w prawicy kij żelazny, grubości palca, drugą zaś ręką trzymał, owinięwszy kilkakrotnie dokoła pięści, łańcuch zakończony stalową obrozą. W obroży targał się biały niedźwiadek, oglądający ponurem wejrzeniem, rzucaniem zpodoba, uliczkę, zakopaną w śniegach powyżej płotów. Słońce świeciło małej bestji prosto w pysk, więc poruszała wciąż czarnym noskiem, oblizując się i od czasu do czasu kichając wielokrotnie a przenikliwie, niby zakatarzony kot.

Toczyła się rozmowa w tempie leniwem – typowe gędzenie rozpróżnionych żołnierzy, wałęsających się na słoneczku w bezpiecznym garnizonie, zdala od placu bitwy:

- On, czy ona?
- Kto? – zapytał podchorąży.
- No, ten srogi zwierz...
- Ona.
- Skąd wiesz?
- Powiedziała mi na ucho, jak byliśmy sami...
- Gadaj zdrów. Nie może być.

- Fakt.
- A co będziesz z nią robił?
- Wziąłem na wychowanie. Spójrzcie, jaka przystojna! Trochę z niej dzikus jeszcze, wczoraj ugryzła mię w łydke, ale to się da odrobić. Nie słucha dobrego słowa, to posłucha kija. Na razie daję sobie z nią radę tem!

Tu dźwięknął żelazną maczugą o bruk. Niedźwiadek szarpnął łańcuchem i zjeżył grzbiet. Rozległ się groźny pomruk, potem krótki, srogi ryk .

- Kusz¹¹, ścierwo, bo wszystkie kości połamię! – uspakajał podchorąży swą pupilkę, nie bez pewnej jednak serdecznej ciepłej nutki w głosie, pomimo groźnego sensu słów.
- A karmisz ją ?
- No, przecie.....
- Czemu ?
- Zjadła dziś pud świeżych flader¹², a prócz tego – parę butów, które grzały się przy piecu po wysmarowaniu tłuszczem.
- Apetycik, powinszować ! Bardzo, bardzo miły zwierz. Buzię ma wcale, wcale inteligentną. I z oczu jej patrzy uczciwie. Niepotrzebnie nad nią się znęcasz. Jabym poradził dobrocią, łagodnością. Można pogłaskać?
- Owszem. Spróbuj.

Amator łagodnych metod nachylił się nad niedźwiadkiem i wyciągnął rękę, by go pogłaskać po splaszczonym łbie. Zwierz liznął śnieg szkarłatnym jęzorem i na zniżającą się rękę nie zwracał pozornie uwagi. Lecz zaledwo go dotknęto do koniuszka włosów, wykonał ociężałą głową zdumiewający, błyskawiczny ruch. Amator łagodnych metod mimowolnie wydał okrzyk i skoczył wstecz jak oparzony. Jednocześnie rozległo się głośnie kłapanie potężnie uzębionych szczęk, które, zamiast cofniętej szybko ręki, napotkały próżnię.

- A to dzikie bydlę ! Ależ ona naprawdę kąsa !
- Nie żartuję. Podziękuj, że prócz pary moich butów, nie zjadła ci kawałka ręki.

Zapalono papierosy. Zewsząd dolatywał melodyjny dźwięk – podzwiek dzwonek od sanek, jeżdżących po mieście. Powierzchnia śniegu lśniła w słońcu, jakby posypana tłuczonem szkłem. W mroźnym powietrzu błąkały się wirujące iskiere lotnego szronu, niby ów brylantowy kurz, który zapala się i gaśnie w skośnym słupie blasku słońca, wpadającego do pokoju przez okno. Niedźwiadek coś mruczał i mamrotał, gmerając w śniegu czarnym nosem.

- Dokąd z nią teraz pójdziesz ? – zapytał podchorążego kolega.
- Na promenadę¹³, - brzmiała odpowiedź.
- Zwarjowałeś ? !
- Nie. Tu chodzi o honor całej polskiej armji.
- Jakto ?
- Zaraz opowiem, – odrzekł podchorąży. – Czy znacie kapitana bersaljerów, Włocha, tego co chodzi, jada i sypia z monoklem¹⁴ w pysku ?
- To ten, z którym na ostatnim balu w misji francuskiej poróżniliśmy się o tę facetkę w sukni lila ?
- Mój kochany, proszę cię!... Dobieraj oględniejszych wyrażań, gdy mówisz ze mną

o kobiecie; którą więcej, niż szanuję...Tak. Ten sam właśnie. Wyobraźcie tylko sobie, na jakie kawały puszcza się ten drab, byleby tylko zdobyć jej względy. I tak już dużo przewag ma nade mną: jest brunetem, ja blondynem – ona woli brunetów; używa monokla, a to jej imponuje; jest kapitanem, ja dopiero podchorążym; nazwisko jego brzmi: Andreas Giovanno della Stupida hrabia Bambini, a ja nazywam się: Walenty Karaś. Nie dość tego: wieczorami całami śpiewa jej po włosku, wywracając białka oczów, swoje canzony i barcarolle¹⁵. A gdy ja, chcąc dotrzymać mu placu, raz huknąłem z całego gardła „Husia – Siusia” ona uszy zatkała oburącz i rzekła:

- Proszę dać spokój. Pan miłszy jest bez śpiewu. Panu w dzieciństwie Mahomet musiał nastąpić na ucho.

Włoch zaś, ucieszony z mej porażki, zaraz zaśpiewał swym barytonem aksamitnym pieśń, zaczynającą się od słów: „O, cara mia... ¹⁶”. Zostałem sromotnie pobity.

Co dzień spotykamy się obaj na spacerze przed domem naszej donny, która czeka, siedząc w oknie, i patrzy przez dziurkę, wychuchaną w szronie, okrywającym szybę. Włoch dowiedział się, że ona lubi zwierzęta. Pewnego dnia przyszedł z oswojoną łasicą, siedzącą mu na ramieniu. Lecz nazajutrz ja triumfowałem, bom przywłóknę z sobą na sznurku żywego jeszcze gronostaja. Włoch jednak nie dał za wygraną i w dzień potem przelicytował mego gronostaja autentycznym żółtym lisem. Zawziąłem się tedy i ja. Dostałem młodego wilka, który przy pierwszym spotkaniu zagryzł jego lisa. I w turnieju tym pewniebym zwyciężył, gdyby z całego miasta nie zbiegły się wówczas wszystkie psy i nie rozszarpały mego wilczka ciepłych jeszcze zwłokach żółtego lisa. Włoch natomiast wytrzasnął skądś „błękitnego lisa” i od kilku dni parady z nim co dzień na promenadzie, wywołując duży efekt¹⁷ w tłumie, oraz przychylne uśmiechy w dziurce, wychuchanej w szronie na szybie.

Wpadłem w rozpacz i pewniebym rozpił się na śmierć, gdyby nie traf szczęśliwy.

Przedwczoraj na tutejszym targu spotkałem chłopca „samojeda”¹⁸, który przyprowadził na sprzedaż tego oto niedźwiadka. Kupiłem bez namysłu, i teraz zobaczymy, kto lepszy: ja, czy Włoch. Nie może być, żeby polski legjonista skapitulował¹⁹ przed nacją²⁰, którą Bóg stworzył poto jedynie, aby Austrja, stale bita przez cały świat, też miała kogo bić!... Pęknie, szelma, z zazdrości. Dziś pograżę go nareszcie w oczach naszej donny²¹ i zdobędę jej serce. Zguba nad Włochem wisi, chybaby tym razem przytaszczył ze sobą żywego krokodyla!...

- Zwycięzysz. Idź . Masz rację. Tu chodzi o honor całej armji! – krzyknęli chórem słuchacze. Jednocześnie z ulicy pryncypalnej wpadł do zaułka żołnierz, ordynans Karasia, i zawołał:
- Panie podchorąży, włoski kapitan już jest!
- Z lisem?
- A jakże, z lisem, – odpowiedział ordynans.
- Dam ja mu lisa, – mruknął Karaś.

I poszedł, wlokąc na łańcuchu swą dziką wychowanicę. A że mu zrazu krnąbrnie się opierała, wbijając w śnieg wszystkie cztery łapy, przeto w najlepszej komitywie, i Baśka, – była to bowiem ona, – biegła ciężkim truchtem, ocierając się pieszczotliwie o kolana podchorążego.

Samem już zjawieniem się swem wśród spacerującego tłumu wywołali żywe zainteresowanie, coś nawet, jakby w rodzaju wstrzemięźliwego entuzjazmu²². Wnet zaszczeakały tu i ówdzie kieszonkowe kodaki²³ Anglików. Pewien odważny major amerykański żartem ofiarował Baśce tabliczkę czekolady, którą pożarła bez namysłu, wraz z papierowem opakowaniem, tudzież

z futrzaną rękawicą majora, – dłoń jakimś cudem udało mu się z niedźwiedziej paszczęki i z polykanej rękawicy unieść cało.

Przechodnie za zbliżeniem podchorążego wszędzie się rozstępywali, czyniąc szpaler, jakby przed parą nowożeńców, wracających od ołtarza. Baśka, czując, że cały ten honor jej przynależy, zrozumiała, iż jest bohaterką dnia. Wzbiła się więc w pychę i poczęła iść na trzech tylko łapach, czwartą zrzadka dotykając ziemi, a z boku paszczy wysunęła na kilka cali jęzor, co miało taki pozór, jakby niosła go w zębach. Wszystko to u niedźwiedzi polarnych jest przejawem nader wyszukanych manier. „Pomyślcie tylko nad tem dobrze, a zobaczycie, że jest tak, a nie inaczej” (jak zwykł mawiać mój starszy kolega po piórze, niejaki sir Rudyard Kipling)²⁴.

Wśród ludzkiej ciżby, tłoczącej się po bokach i z tyłu, doszli tak aż do domu, gdzie mieszkała sprawczyni polsko – włoskich wzdychań i utęsknień. Włoch tkwił już na stanowisku. Dama dwojga rozmiłowanych serc główkę blond miała wysuniętą przez otwarty lufcik i, trzymając długimi rękami, słuchała, co jej prawil kochliwy kapitan bersaljerów, który przestępował z nogi na nogę, jak człowiek niezbyt wytrzymały, albo mocno zziębnięty. Stąd można było wnioskować, że tokuje tu od paru już kwadransów. Na smyczy, założonej haftką na guzik paltota, trzymał dużego lisa, – bardzo piękny okaz fauny północnej, – napuszonego prześlicznym futrem barwy szarej, wpadającej w odcień jakoby polerowanej stali, czemu właśnie gatunek owych lisów zawdzięcza nazwę „błękitnych”.

Lis siedział u stóp swego pana, wsparty na wyprostowanych łapach przednich. Uszy czujnie trzymał do góry, a w śpiczastej, wąsatej mordce miał wyraz takiej roztropności, że, zdawało się, zacznie naraz mówić po ludzku i to całkiem do rzeczy. Puszczystą kitę odwalił poza siebie i pieczołowicie ją rozłożył na całą szerokość chodniczka.

Na widok Baśki zerknął w jej stronę raz i drugi i poczuł niepokój, co wyraziło się nazewnątrz przez natychmiastowe cofnięcie kity z poza pleców i ułożenie jej przed sobą. Włoch tókował w dalszym ciągu, przestępując z nogi na nogę.

Podchorąży był już o kilkanaście kroków.

Włoch poza otwartym lufcikiem nie widział świata. Błękitny lis zmienił miejsce i usadowił się tak, by między Baską a sobą mieć na wszelki wypadek foremne łydki swego pana. Koniec puszystej kity poruszał się cokolwieczek za nerwowo.

Podchorąży znalazł się przed oknem i złożył grzeczny ukłon damie. Dama, ujrawszy zwierza, holowanego na łańcuchu, krzyknęła! „Ach!” i wydusiła łokciem szybę. Dzwoniące drzazgi szkła spadły kapitanowi na zadarty łeb; stamtąd stoczyły się na ziemię wraz z monoklem, o który zawadziły.

Baśka zbliżyła się do lisa w zamiarze obwąchania jego kity, intrygującej²⁵ puszystym wyglądem

Włoch schylił się, by podnieść monokl, bez którego nic nie mógł przedsięwziąć, gdyż był krótkowidzem.

Obwąchiwany przez białego potwora lis wpadł w szal przerażenia i urwał się wraz ze smyczą i guzikiem, do którego smycza była przytwierdzona. Gwałtowne szarpnięcie, spowodowane oderwaniem mocno przyszytego guzika, wytrąciło schylonego kapitana z równowagi, aż się musiał oprzeć rękami o ziemię i znalazł się przez chwilę w pozycji na czworakach.

Baśka, rozszłoszczona ucieczką lisa, poczytała osobę, znajdującą się na czworakach i wypiętą ku niej gestem wysoce prowokacyjnym²⁶, za jakowegoś czworonoga, który jej, Baśce, chce ubliżyć. Zahaczyła więc kłami za fałdy kapitańskich hajdawerów²⁷ i jęła ciągnąć ku sobie z całej siły.

Przestraszony Włoch swym pięknym barytonem, który stracił na ten czas całą aksamitność brzmienia, wydobyl z siebie bardzo wysokie „fa”²⁸.

Baśka zawtórowała mu ogromnie potężnem „re”, nie wypuszczając jednak spodni z paszczy. Podchorąży wprawił w ruch żelazny drąg, aż warkotało w powietrzu.

Dama w wyduszonem oknie darła się w niebołoso.

Na miejsce wypadku zbiegło się pół ulicy. Angielskie kodaki zaszczękały częstotliwie, niby zamki karabinów plutonu, gotującego się do salwy.

W trakcie zajścia, z handlu ryb, znajdującego się obok, wyskoczył nagle błękitny lis, wciąż szalejący z trwogi, i, pędząc, obalił z nóg kilku gapiów. Lecząc, co najdziwniejsza, pozbył się był już smyczy, a wpoprzek łajdackiego pyska trzymał tłustą flandrę. Nim się tłum obejrzał, – lis był już daleko: czmychał środkiem ulicy, rozpuściwszy na wiatr wspaniałą kitę. I znikł na pierwszym zakręcie, jakby się w ziemię zapadł. Co się z nim stało, nikt tego nie wiedział ni wtenczas, ni potem.

Włoch po dłuższej targaninie wyrwał się z niedźwiedziej paszczęki, lecz kosztem dużego kawałka spodni, który Baśka zatrzymała w zębach jako trofeum²⁹. Poszkodowany wrzucił do oka monokl, zmierzył rywala zabójczym spojrzeniem, rozpiął płaszcz, wyjął portfel, dostał bilet wizytowy i wręczył podchorążemu. Karaś schował bilet do kieszeni paltka i rzekł:

- Znamy się, kapitanie, od dawna. Ale bardzo mi jest przyjemnie. Żegnam pana.

I odszedł wraz z Baską, która nie wypuszczała z zębów urwanej szmaty sukna.

Atoli los miał w zanadrzu jeszcze jedną awanturę.

Dnia tego zażywał przechadzki również angielski generał, naczelny dowódca wszystkich wojsk koalicji³⁰ na Murnanie, który chodził zawsze w towarzystwie buldoga. Generał podążał właśnie w stronę zbiegowiska, wywołanego zajściem Baśki z Włochem. Buldog szedł o kilka kroków przed panem. Był to pies stary, spasty, mrukliwy i warkliwy, ślepy na jedno oko, z wieczną nitką plugawej śliny, zwieszającą się z brodawkowatych psich warg, niedomkniętych nad spróchniałymi szczękami. Słyszał z tego, że na ulicy ustępował z drogi tylko cywilom, wojskowemu nie ustąpił nigdy. Bo wiedział, że jest psem generalskim, i każdy spotkany człowiek w uniformie wojskowym musi przed nim i przed jego panem salutować pierwszy i usunąć się z drogi.

Milord, – takie miał imię ów pies, – nie pospolitował się zawieraniem ulicznych znajomości z innymi psami. Długi żywot – wysławiał go ze swawolnych zachcianek. Nawet w lipcu, który jest miesiącem psów, nie doznawał on zbyt wielu upałów krwi. Obecnie zaś był dopiero początek lutego.

Jednakowoż na widok nieskalanie śnieżnej Baśki poczuł, że musi natychmiast zawręć z nią znajomość. Krótko mówiąc, zachciało się Milordowi psich figlów.

Podskoczył więc ku zdumionej bezczelnością Baśce i tak obcesowo się jej przedstawił, że Baśka aż zawyla ze zgrozy na te zaloty zgrzybiałego starca. I w bronie swej godności panieńskiej zadała łapą tęgi cios naodlew.

Milord wyleciał w górę, jak z procy, skręcił się w powietrzu, padł skrwawionym łbem na bruk, aż coś mu trzasło w apoplektycznym karku, i wybulgotał z siebie sprośną duszę, zanim nadbiegł jego pan.

Nazajutrz podchorąży Karaś miał z Dowódcą Polskiego Baonu³¹ rozmowę poufną, o której później opowiadał kolegom, odwiedzającym go w areszcie:

- Mielimy z naszym majorem bardzo głośne gadanie w cztery oczy, a właściwie to tylko w trzy oczy, bo jedno było wybite...

Milord po zabalsamowaniu został odesłany przez nieutulonego w żalu generała osobnym torpedowcem³² do Anglii. Podchorąży, bez balsamowania, poszedł do kozy na dni dziesięć.

Baškę zaś rozkazem dziennym L. 33 § 8 przydzielono do Baonu W.P. na Murmanie z nominacją na „Córkę Regimentu” i z zaliczeniem na wikt w kompanji karabinów maszynowych.



-
- ¹ Białe Morze - zatoka utworzona przez północny Ocean Lodowaty na wybrzeżu rosyjskim, przy półwyspie Kola.
² Entanta – państwa sprzymierzone, walczące w ostatniej wojnie z Austrią i Niemcami.
³ kunktować – przedsiębrać coś z wielkim namysłem.
⁴ pryncypalny – główny
⁵ trampolina – przyrząd do ćwiczeń gimnastycznych lub cyrkowych
⁶ Brytańczycy - Anglicy
⁷ beret – płaska czapka
⁸ mokaśeny – obuwie, noszone przez Indian Ameryki Północnej.
⁹ bersaljerzy – strzelcy włoscy.
¹⁰ khakki – kolor ciemno – żółty.
¹¹ Kusz, z francuskiego, - leż ; wołanie na psa.
¹² flądra – gatunek ryby morskiej.
¹³ promenada – spacer, albo miejsce zwykłych spacerów.
¹⁴ monoki – półokulary o jednym tylko szkłe, przeznaczone do noszenia w jednym oku.
¹⁵ canzony, barearolle – pieśni.
¹⁶ O cara mia - moja droga, po włosku.
¹⁷ efekt – wrażenie, skutek.
¹⁸ Samojedzi – naród szczepu fińskiego, mieszkający na krańcowej północy Rosji europejskiej i azjatyckiej.
¹⁹ skapitulować – ustąpić.
²⁰ nacja – naród.
²¹ donna – panna , z włoskiego.
²² entuzjazm – uniesienie.
²³ kodak – gatunek aparatu fotograficznego.
²⁴ Kipling – pisarz angielski.
²⁵ intrygować – zaciekawiać w sposób tajemniczy .
²⁶ prowokacyjny – wyzywający.
²⁷ hajdawery – spodnie.
²⁸ fa – jedna z siedmiu nut muzycznych.
²⁹ trofeum – zdobycz.
³⁰ koalicja to samo co ententa.
³¹ baon – bataljon
³² torpedowiec – statek rzucający torpedy, t. j . pociski wybuchające i niszczące w ten sposób flotę nieprzyjacielską



GRUPA OFICERÓW ARMII MURMAŃSKIEJ PODCZAS CHWILOWEGO POBYTU W TWIERDZY MODLIŃSKIEJ.



NASZE ZUCHY MURMAŃSKIE W KOSZARACH MODLIŃSKICH.

Wymyci, wygoleni, wyelegantowani i nareszcie wygrzani, odpoczywają po trudach podróży.

IV.

Teraz dopiero żywot Baśki wszedł w najświetniejszy swój zakres. Urodzona pod ciemną Gwiazdą Polarną, rozpoczęła karierę pod znakiem Marsa¹.

Na niedźwiedznika przeznaczono jej kaprała, nazwiskiem Smorgoński. Kaprał trudnił się przed wojną rzemiosłem szewieckim, i Baśka była pierwszym żywym niedźwiedziem, jakiego w życiu na oczy uświadczył. Wybór zaś na niego mianowicie padł stąd, iż adjutant, komponujący rozkazy dla Baonu, zwykł był, jako doktor filozofji, myśleć syntetycznie². W danym wypadku powodował się brzmieniem nazwiska Smorgońskiego, sądząc słusznie, że trudno dla niedźwiedznika o nazwisko lepsze.

Kaprał Smorgoński musztrował dotąd rekrutów, pobranych do wojska z Polaków, których wojna rozproszyła po obszarach niezmierzonej Rosji, albo takich, którzy mieszkali tam od urodzenia. Był to gatunek rodaków dziwnego nabożeństwa, dopiero przymus wojskowy spolszczał ich na nowo i urabiał na patryjotów. Pomiedzy sobą mówili po moskiewsku chętniej, niż po polsku. Bardzo często tylko jedno wyznanie wiary katolickiej było ostatniem ogniwem, łączącym ich z polskością. Z tego powodu przezywano ich ogólnie „katolikami”. Smorgoński, urodzony w Mińszczyźnie, sam wprawdzie z nich pochodził, ale wyrobił się był już na tęgiego żołnierza, przejawsz się od legionistów galicyjskich, z którymi spotkał się na Murmanii, „leguński”³, sposób bycia, ów tak zwany z pruska po polsku „dryl”⁴. Musztrując powierzonych mu rekrutów, kłął siarczyście w narzeczu ziemi Mińskiej, często gęsto sięgał do kwiecistego i niewyczerpanego słownictwa podoficerów b. armji carskiej, lecz, gdy chciał rekruta upokorzyć ostatecznie, ciskał mu na głowę wraz ze splunięciem przez zęby: „Ech, ty, katolik !”

Pewnego dnia został zawezwany przed gołowasę oblicze adjutanta, który to oficer zwykł był myśleć syntetycznie. Adjutant, wskazując na Baškę, rzekł:

- Kaprał. Od jutra będziesz musztrował ją tylko jedną. Za dwa tygodnie ma umieć wszystko, co się przyzwoitemu niedźwiedziowi w wojsku polskim „gebiruje”⁵. Możesz odejść. „Skończyłem”.
- Rrrrozkaz! – odrzekł kaprał z determinacją, biorąc do ręki łańcuch, na którym Baśka była uwiązana.
- A dasz że jej rady sam jeden ? – zapytał jeszcze adjutant.
- A toż jak, panie podporuczniku! – brzmiała odpowiedź. – Mnie tam co ! Taż ja całemu plutonowi najdurniejszych katolików rady dawał, tak jakby ja nie dał rady jednemu niedźwiedziowi ? Niedźwiedź – nie katolik . Z nim dzieło ze wszystkim drugie. Bo rekruta – nie śmiej palcem trącić, a niedźwiedzia – możesz bić, ile dusza zakce. A jak niedźwiedzia dużo bić, tak on koniec końców może się nauczyć i siarniki zapalać. On – zwierz tylnym rozumem mocny. Wiadomo!...

Ciężkie dni rozpoczęły się dla Baśki .

Jej mentor⁶ okazał się w nauczaniu gorliwszym jeszcze, niż swego czasu była niedźwiedzica – matka. Baśka nie wniknęła zrazu w intencje⁷ swego profesora i w osiągnięciu nowych doskonałości była za mało ambitna. Ale zato Smorgoński miał ambicji za dwoje. Postanowił, że jego uczennica musi umieć maszerować na dwóch łapach, krokiem strzeleckim, w takt muzyki, przygrywającej do marsza ceremonialnego. I postawił wkońcu na swoim.

Nie będziemy tu opisywali, jakich środków się chwycił, aby celu dopiąć. Każdy cel militarny uświęca wszelkie środki.

Kaprał ćwiczył niedźwiedzicę ogniem i żelazem, niejedną kij tęgi połamał na niej w drzazgi,

a gdy, w imię obrażonej godności osobistej, zbyt głośno protestowała, przemawiał do niej ciele:

- Stul pysk, durna! Toż dla twego dobra tataruję ci boki. Nigdy żaden niedźwiedź nie był taki uczony, jaka ty będziesz...

Zresztą pokochał ją serdecznie i zwierzał się przed nią, prowadząc z nią wieczorami długie rozmowy. Sypiali na wspólnym posłaniu, rzadka się tylko wadząc, niby najprzykładniejsze małżeństwo.

On też pierwszy nazwał ją – Bašką. Było w niej bowiem coś wielce kobiecego, a zarazem miała w sobie wiele z miłej dzikuski, takiej właśnie, jaką jest niejedna z polskich Basiek. Żołnierz na odludziu bywa skłonny do idylli⁸ i sentyment⁹ swój lokuje, gdziekolwiek uda się mu sercem zaczepić...

Nazwa, dana niedźwiedzicy przez Smorgońskiego, przyjęła się wkrótce w użyciu wśród żołnierzy całego Baonu, lecz jakiś śledziennik, jeden z tych wiecznie ze wszystkiego niezadowolonych, doszukujących się plam na każdym słońcu, podał w wątpliwość płę Baśki.

Niedźwiedzica była za wielką figurą w Baonie, aby wątpliwość owego śledziennika nie urosła wnet do rozmiarów zagadnienia, które zaprzatnęło całkowicie wszystkie głowy. Baon podzielił się na dwie partji, za i przeciw. Wrzenie umysłów stało się powszechnem. Sprawę roztrząsali z pianą na ustach nawet oficerowie. Doszło do wymysłów i bójek. Coraz inni znawcy oglądali Baškę, lecz opinie wydawano najsprzeczniesze. Prawda, jak to bywa zwykle w takich razach, utonęła we wzburzonych falach roznamietnienia, stronnictwo i różnych intryg. A rzecz miała się tem gorzej, iż nie była wolna od domieszki pewnej niezdrowej sensacji¹⁰, właściwej delikatnym sprawom tego rodzaju.

Aż adjutant, myślący syntetycznie, poszedł po rozum do głowy i w rozkazie dziennym wystylizował paragraf tej treści:

§ 69.

„Wobec bezpodstawnych wersyj, obiegających Baon, jakoby przydzielona do tegoż niedźwiedzica Baśka należeć miała do obu płci naraz, – poleca się lekarzowi Baonu rzecz ściśle zbadać na miejscu, płę niedźwiedzicy ustalić raz na zawsze, a o wykonaniu donieść raportem na piśmie, który Kancelarja dołączy do listy ewidencyjnej¹¹ rzeczonej niedźwiedzicy, ażeby mieć pewną rękojmię niepowtórzenia się w przyszłości podobnych awantur”.

Dzień ekspertyzy¹² lekarskiej był wielkim dniem Baonu. Od samego rana czyniono grube zakłady pieniężne, które miały zależeć od wyników ekspertyzy. Dawało się wyczuć ogólne podniecenie, jak przy totalizatorze¹³. Podczas oględzin lekarskich, dokonywanych wobec całego Baonu, oczy wszystkich żołnierzy zawisły na ustach lekarza, kiedy miał zawyrokować, do jakiej ostatecznie płci niedźwiedzica należy.

Zapanowała martwa cisza, w której rozlegało się jedynie głośne bicie trzystu serc, oczekujących wyroku.

Wreszcie lekarz, młody i przystojny Warszawianin, obwieścił uroczyście wszem wobec:

- Baśka jest panną !

A wtedy uczynił się istny dzień sądny.

Stronnictwo, które trzymało się opinji, zgodnej z orzeczeniem lekarza, wyraziło swą radość

trzykrotnem, gromkiem: „Hurra!” podrzucano w górę czapki, wiwatując na całe gardło. Mający rewolwery otworzyli na znak uciechy rześistą palbę. Uczynił się taki tumult, że angielskie dowództwo zaalarmowało cały odcinek frontu, myśląc, że to nieprzyjaciel wdarł się na tyły.

Zaczęto cisnąć się kupą do Baški. Składano jej w darze co kto miał do zjedzenia. A kto zdążył już podpisać, lał całować się do niej, roniąc łzy rzewne na jej śnieżne futro.

Jedna tylko Baška zachowywała spokój, chociaż ogólne wzruszenie i ją ścisnęło za gardziel i łaskotało w nozdrza, zmuszając do kichania raz za razem.

- Baška ! dalibóg, porządna z ciebie kobita ! – wołali entuzjaści.

A ona patrzyła im prosto w oczy, czując, że stanowi z nimi jedną rodzinę, że przestaje być zwykłą niedźwiedzicą polarną, lecz już jest jednej rasy, jednego narodu z tymi żołnierzami, którzy ją kochają i są z niej dumni, a dla których staje się jednej rasy, jednego narodu z tymi żołnierzami, którzy ją kochają i są z niej dumni, a dla których staje się oto żywym sztandarem, związanym z dziejami ich tułaczki po ziemiach dalekich, z ich bohaterswem i niewiudłą chwałą.

I czarne jej oczki, w których świat odzwierciedlał się niby w wodzie żyjącej, zdawały się mówić:

- Setne z was chłopcy! Z wami żyć i umierać!...



¹ Mars – bóg wojny u Greków i Rzymian starożytnych.

² syntetycznie – w sposób uogólniający.

³ legunski, czyli legionowy.

⁴ dryl – z niemieckiego, tu tresura żołnierska.

⁵ gebirować się, z niemieckiego, należeć.

⁶ mentor – nauczyciel.

⁷ intencja – zamiar.

⁸ idylla – sielanka – tu w znaczeniu nastroju uczuciowego.

⁹ sentyment – uczucie.

¹⁰ sensacja – wrażenie.

¹¹ lista ewidencyjna – tu w znaczeniu legitymacji.

¹² ekspertyza – badanie.

¹³ totalizator – miejsce na wyścigach konnych, w których robi się zakłady na danego konia, płaci się przegraną lub otrzymuje wygraną.

V.

Parowiec płynął do Gdańska. Zimowe nadmorskie słońce jaśniało na wysokościach bladobłękitnego nieba. Nikły warkocz dymu snuł się z komina, niby z olbrzymiego cygara, wetkniętego pionowo w pokład okrętu. Za sterem ciągnęła się po wodzie śnieżno – zielona, wrząca brzoza, rzekłbyś: wiorstowy niewód, napęczniony po brzegi kotłującymi się rybami. Morze, drgające krótką, płaską falą, zdawało się kołysać nieustannie tysiącami luster, które odbijały tyle mokrego słońca, że blask ten zacinął po oczach wprost boleśnie, jakoby biczem, ukręconym z promieni.

Metalowe okucia na pokładzie jarzyły się chwilami, jak bengalskie ognie. Na dziobie okrętu kupiła się gromadka żołnierzy z odsłoniętymi głowami. Mewy z radosnym piskiem śmigały tuż nad nimi, zdając się dotykać w locie skrzydłem do ich włosów.

W gromadce było gwarno, jak na bolszewickim wiecu. Rozlegał się śmiech, podobny do końskiego rżenia. Brzmiały okrzyki:

- Śpiewać „Lamenty” ! Chcemy „Lamentów”!
- Nie, nie! Lepiej „Białej róży kwiat” ! – ozwał się jakiś melancholijny głos.
- Stul paszczę, kiedy cię nikt nie pyta! – wrzasnął w ciżbie inny głos.
- Lamenty! Zaczynać!

Zaczem zaśpiewano chórem na nutę okrutnie dziadowską. Była to pieśń ulubiona przez Murmańczyków: „Lamenty podbiegunowe”, którą ułożył swego czasu dziś już nieboszczyk, major Bolesław Szul.

Strażneż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,
Obronął biegun.

Tak nami dziwnie kręci ręka boża,
Chciałeś mieć Polskę z dostępem do morza,
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem
Tam i z powrotem.

Zwiedziłeś bracie świata kawał srogi,
W różnych krajach poobijał nogi,
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Ale cię strasna czekała udręka,
Bo tam się bidny człowiek cięgiem lęka,
Żeby mu koło nie spadło na głowę
Podbiegunowe.

Tam miast na koniach naród na psach jedzie,
Tam krowim mlekiem dojom się niedźwiedzie,
Tam wieloryby rosnom co dwa kroki
I jeszcze fok.

Noc, całom zime, że nie ujrysz słońca,
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugom nieba strone,
Jak pomyłone.

Więc bolszewickie przechtraj wybiegi,
Pod Obozierskiem¹, lub w błotach Onegi²
Marźnij nad Dzwinom³ lub moknij do woli
Na moście w Koli⁴

A, gdy już z frontu powrócisz nareście,
Nie myśl, że spocznieś w jakim ludzkim mieście
Bo cie wpakujom – o Matko anielska –
Do Archangielska.

I znów tłuc mustre każom ci do maja,
Różnym sposobem dajom dziwnom szkołę,
A położenie takie niewesołe,
Marnie nastraja.

Zamiast jedzenia dajom tam bez przerwy,
Przeróżne małpy i inne konserwy,
Że niezadługo staniesz się na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary – galety⁵,
Co dentystyczne siedziom w nich zalety,
Bo nieostroźnie włóż bestję do gęby,
Wylecom zęby.

Waruj więc bracie i nie miej pretensji,
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji,
Choć przyjdzie wręście, świecąc cielskiem gołem,
Siąść pod kościołem.

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chce teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chcę wiele, tylko jedno wspomnę
Zycenie skromne:

Z pruskij koróny już zrezygnowałem,
Mogę nie zaraz zostać gienerołem,
Tylko nam bilet, o Boże łaskawy
Daj do Warszawy!

Śpiewom przysłuchiwała się Baśka, siedząca opodal na zwoju lin okrętowych. W momentach liryczniejszych łączyła swój srogi ryk ze śpiewem żołnierzy, co razem brzmiało bardzo efektownie.

Kapral Smorgoński siedział wtulony plecami w jej bok futrzany, niby w poręcz wygodnej kanapy. Oboje czuli się nad wyraz dobrze.

Oddział Murmański wracał do kraju. Miał za sobą półtora roku walk po błotach i borach Rosji Północnej. Był to bez wyjątku żołnierz otrząskany ze śmiercią, dzielny do wybitki, jeszcze lepszy do wypitki, dobry do tańca, gorszy do różańca. Okryli się chwałą nieśmiertelną w oczach wojsk ekspedycyjnych całej Europy, rozkazy angielskiego dowództwa nazywały ich „Lwami Północy”. Miało się, przypięty do piersi, niejeden krzyż i medal francuski i angielski. Wiozło się też coś niecoś zegarków i klejnotów zdobycznych, tudzież nieco tego marnego grosiwa, które się zdobyło w krwawym pocie, uczciwie, na nieprzyjaciółach rodzaju ludzkiego i Ojczyzny. Albowiem Bóg pobłogosławił męstwu Polaków.

Jechali z Murmanu do Polski przez Anglję, gdzie podejmowano ich z królewskim przepychem, jako bohaterów, „którymi sama starożytność pochłubićby się mogła”.

Baśka towarzyszyła Oddziałowi wszędzie, niby żywy sztandar. Była dumna ze swych Polaków, lecz i sama przynosiła im chlubę niemałą. Dziwił się świat, patrząc na dziką bestję egzotyczną⁶, obłaskawioną, jak domowy pies.

- Wieźliśmy z sobą i tresowanego wieloryba, ale nam w drodze zdechł, gdyż zjadł przez pomyłkę pewną starszą miss⁷, która miała fałszywe zęby, włosy i biust! – łgali z humorem żołnierze polscy angielskim marynarzom z załogi statku.

Marynarze tyle już nasłuchali się o tej garstce Polaków, że bajda o wielorybie nie dziwiła ich bynajmniej, brali żart za dobrą monetę, myśląc, iż te pół – diabła murmańskie potrafiłyby, gdyby zechciały, okiełznać i legendarnego węża morskiego⁸, byleby tylko dał się złapać.

Kapitan statku obwieścił, że za godzinę ukaże się łąd na horyzoncie, polski łąd.

Na tę wieść wyległo tłumnie na pokład bractwo z dusznych kajut, gdzie w dymie tytuniowym i w oparach alkoholu rznąło się w karciecia od dwóch dni i nocy bez przerwy, zapomniawszy o wojnie i o bożym świecie.

Smorgoński, który jeszcze nigdy nie był w Polsce, lecz twierdził, że „też wraca do kraju”, rzece do swej kudłatej przyjaciółki:

- widzisz, Baśka, a widzisz! A co, nie mówiłem! Wracamy do Polski. Ciesz się, dur-na! A wiesz ty, przynajmniej, co to jest Polska? Polska to taki kraj, gdzie niema katolików, a wszystko Polaki są korzenne. A po miastach na ulicy wszystek naród gada tylko po jęwejsku⁹ i po polsku. Nasz rodzony kraj, Baśka, bardzo piękny kraj!...

I w rozrzewnieniu ucałował ją w sam czarny nos, a ona mu twarz całą oblizła gorącym językiem.

W Gdańsku wylądowano bez szczególnych przygód, jeśli nie liczyć małego zajścia, wieczorem, w portowym szyneczku, które zostało wywołane prowokującą postawą żołdaków z „Grenzschutzu”¹⁰ wobec naszych zuchów. Zajście to jednak wnet zlikwidowali sami Murmańscy, jąwszy się środków, o których znana piosenka lwowska śpiewa:

„Nic nikomu nie mówili
tylko w mordę bili,
światła pogasili,
Ta już, ta już !”

Baśka walnie spisała się w tej potrzebie, stając ramię w ramię z towarzyszami broni, i ona to w znacznej mierze przyczyniła się do przychylenia szali zwycięstwa na stronę polską. Przechodzi ludzkie pojęcie, jak ten inteligentny zwierz od razu, od pierwszego wejrzenia, znienawidził szwabów!

Nad ranem Oddział z bagażami i Bašką odjechał na wypoczynek do Modlina.

- śmierdzi nam ten polski Gdańsk ! – zwierzali się sobie Murmańczycy z gdańskich wrażeń. – Niech jasny piorun trzaśnie w taki dostęp do morza i z powrotem. Widzieliście Anglików? Tyle już tam nawieźli swoich małych konserw i „jam- plum’u”¹¹, że nam Gdańsk wkrótce obróci w drugi Gibraltar.

I warto było krew za nich łać na Murmanie!

- Tyś zwłaszcza dużo jej przelał ! – odezwał się głos przekąśliwie wąpiący.
- Głupiś. To jest zwrot retoryczny. Mam na sumieniu bądź co bądź dwóch bolszewików, nie licząc tego Anglika, com go sprzątnął przez pomyłkę od jednego strzału, kiedy raz stał na posterunku
- To ci się chwali, osobiście ta... pomyłka. Śmierdzi bo śmierdzi ten nasz zaangażowany, cacany, obiecany Gdańsk!...

Po paru tygodniach pobytu w Modlinie Oddział wraz z nieodłączną Bašką wybrał się do Warszawy, aby się sprezentować przed Naczelnikiem Państwa.

Był to pamiętny dla stolicy dzień. Tłumy wyległy przed Dworzec Wiedeński, by powitać żołnierzy, poprzedzanych wojenną Legendą, jakiej od czasów San – Dominga nie znały polskie dzieje.

Z muzyką na czele, wybijając potężnie trzema stami nóg takt po bruku, niby cepami po klepisku, szedł Baon Murmański ku Placowi Saskiemu. Dzień był pochmurny, grudniowy, lecz żołnierzom twarze jaśniały, niby od słońca: czuli, że są sławni i waleczni, że imponują wszystkim naokół. Rozpierała ich próżność, właściwa żołnierzowi, maszerującemu z orkiestrą wobec tłumu cywilnego i młodych kobiet.

Baśka w poczuciu wagi chwili kroczyła obok Smorgońskiego, nie rozglądając się i niczemu nie dziwiąc, była już bowiem bardzo dobrze wychowaną osobą.

Obok maszerujących szeregów, chodnikami ulicą rwał potok. Przewracał się, zawadzając o małe dzieci i psy, rozbijał kolana i łby o słupy latarni, wpadał z rozdziawioną gębą pod tramwaje i samochody, zrywał się z ziemi i biegł dalej na złamanie karku, byleby nie stracić z oczu białej niedźwiedzicy. W mig dowiedziano się o jej imieniu i szmer; „Baśka, Baśka!” elektryzującymi kręgami rozchodził się w tłumie. A ona, słysząc swe imię, tysiącogębną famą wokół powtarzane, zhardziała jeszcze bardziej i szła już, nie wiedząc dobrze, czy to ją prowadzi za Oddziałem na łańcuchu, czy może ona raczej tych trzystu ludzi przed sobą popędza.

Tak doszli na Plac Saski. Olbrzymi Sobór o cebulastych kopułach wywarł na Bašce głębokie wrażenie. Nie mogła sobie tylko przypomnieć na razie, gdzie mianowicie coś podobnego już widziała. Aż wspomniła się jej architektura lodowych gór, pływających po Oceanie Lodowatym.

Jedno do drugiego było podobne wprost uderzająco.

Po krótkiej mszy polowej, oraz po długich przemówieniach generałów i biskupów, które Baśka wysłuchiwała z pobłażaniem, nadeszła chwila defilady¹² przed Naczelnikiem Państwa. Naczelnik bardzo się spodobał Bašce. Nigdy go przedtem nie widziała, jednak od razu, z pierwszego rzutu oka, doszła do przekonania, że ten wysoki człowiek, w skromnym szarym płaszczu, z krzaczastymi brwiami i wąsami, jest na tym placu figurą naczelną, naczelniejszą od Smorgońskiego, który ją, Baškę, trzyma na łańcuchu i uczy rozumu ogniem i żelazem, naczelniejszą od Dowódcy Oddziału, którego się Smorgoński boi, jak Baśka ognia, ba! naczelniejszą nawet od niej samej, od Baški, na którą wszystkie zwracają się oczy! Gdy Naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął rękę, bez namysłu podała mu łapę, wykonawszy przytem coś jakby dyg ceremonialny, jakiegoby się nie powstydzila – najwytworniejsza Dama Dworu. Rozeszli się, bardzo z siebie nawzajem zadowoleni.

Podczas defilady Baśka wywołała w tłumie widzów prawdziwy entuzjazm: piękny to był widok, gdy szła na tylnych łapach, dorównyując wzrostem Smorgońskiemu, krok w krok z nim i resztą Oddziału, zaś w momencie, przepisany ustawą, zwróciła łeb do Naczelnika, salutując go dziarsko, jak szeregowy żołnierz w marszu.

Wywaliła przytem na śnieżną biel futra ćwierćłokciowy jęzor o barwie świetnej amarantu.

Chciała bowiem w ten sposób zapomocą doboru żywych kolorów zamanifestować wobec Naczelnika i asystujących mu misyj¹³ zagranicznych, że przynależy do Narodu Polskiego i do jego Historji.

Istna burza oklasków była nagrodą Baški za polityczne credo, wyrażone tak śmiało, pięknie i z takim taktem.



¹ Oboziersk w Rosji północnej.

² Omega – rzeka rosyjska, wpadająca do półn. Oceanu Lodowatego.

³ Dźwina – rzeka ros. Wpadająca do półn. Oceanu Lodowatego.

⁴ półwysep nad morzem Białym.

⁵ galety – suche ciastka.

⁶ egzotyczny – obcy, obcokrajowy, niezwykły.

⁷ miss, po angielsku panna.

⁸ wąż morski, bajeczny potwór morski.

⁹ po jęwejsku, z rosyjskiego – po żydowski.

¹⁰ Grenzschutz – straż graniczna.

¹¹ konserwa owocowa.

¹² Defilada – pochód szeregami lub pojedynczo, jeden za drugim.

¹³ misja – poselstwo



PRZED WYMARSZEM Z MODLINA DO WARSZAWY.

Grupa bohaterskich murmańczyków czeka na komendę do wymarszu na pociąg.



W STOLICY.

Uroczysta msza polowa na placu Saskim i przegląd oddziałów murmańskich przed naczelnym wodzem. Zdjęcie niniejsze pokazuje chwilę, kiedy biskup polowy, ks. Gall, błogosławi bohaterów.

VI.

Od defilady na Placu Saskim upłynęły dwa miesiące. Baśka spędziła ten czas w Modlinie. Na nic uskarżać się nie mogła, chyba na krajowy wikt jedynie, który marniał z dnia na dzień. Lecz, co dziwna, źle na nią to nie wpłynęło, utyla nawet nieco. Cóż ją obchodzi taki lub owaki „deputat” żywnościowy, skoro pasła się własną sławą. Nie jednemi fładrami niedźwiedź polarny żyje. A ona czuła doskonale, że jest wojskową znakomitością. Ci, którzy z tych czasów ją pamiętają, wspomną zapewne, że w jej stosunkach z ludźmi, nawet nieznanymi, przebijała się pewna łaskawość, rodzaj wielkopańskiej pobłażliwości, jaka bywa właściwa tylko wielkim generałom, poetom i innym sławnym ludziom, kiedy się nagle, wbrew własnemu spodziewaniu, wybijają na zawrotne szczyty sławy i popularności¹. Jednym słowem: spoczęła na laurach i – to ją zgubiło.

A stało się to tak.

Codziennie prowadzono Baškę do płynącej niedaleko Wisły, aby się mogła w zimnej wodzie narozkoszować dowoli. Rzeka, pomimo zimy, nie była pokryta lodem;

Po długiej odwilży mrozy nie wracały, chociaż śnieg popadywał co dzień obfity. Na bystrej wodzie płynęła tylko kra wielkimi taflami. Koryto rzeki szeroką, czarną wstęgą wiło się przez pola cudownie białe. Na przeciwnym brzegu, wznoszącym się stromo, rozsiadła się wieś, która z ośnieżonych strzech wzdychała w niebo błękitnymi bukietami dymów.

Podczas jednej z takich wycieczek, w której, prócz Baški i Smorgońskiego, wzięło jeszcze udział kilku żołnierzy, zachodziło właśnie słońce, sadowiąc się hen za rzeką na pokryte śniegiem pola, tam, gdzie daleki las siną taśmą wił się wzdłuż widnokręgu.

Leżąca u stóp Wisła w purpurze i fiołkach, urwisty brzeg i śnieżne pola, okryte jakoby ruchliwymi grzędami różowych i fiołkowych kwiatów, sina smuga dalekiego lasu, – wydały się nagle Bašce czemś ogromnie znanem, drogiem, utęsknionem: rzeka – zatoką morską, gdzie się niegdyś pływać nauczyła, urwisty brzeg i pola w barwnym świetle – murem lodozwałów, siny las – oceanem, daleko, daleko szumiącym...

Wołanie wiecznej natury, jednakiej w swej potędze od bieguna ziemi, wzywało swe dziecko, zabłąkane wśród ludzi, do powrotu.

I Baśka, podobnie jak wówczas, dwa lata temu, poczuła znów wielką tęsknotę, szaloną chęć do pójścia, do popłynięcia naprzód, gdzie oczy poniosą, w szeroki świat, morskim bezdrożem.

Urwała się z łańcucha, wpadła do wiślanej wody, jak burza, i rycząc radośnie, popłynęła skroś gęstą krę ku przeciwnemu brzegowi.

Żołnierze, lękając się o jej los, kopnęli się na poszukiwanie łodzi.

Tymczasem Baśka wydostała się była już na tamten brzeg i pobiegła zrazu w stronę dalekich lasów – ku urojonemu oceanowi. Lecz po chwili zmieniła kierunek i zaczęła iść ku chałupom wsi nadwiślańskiej. Porywczą tęsknota opuściła ją nagle, jak nagle przyszła. Cywilizacja wzięła górę nad popędami pierwotnymi. I Baśka znów zapragnęła towarzystwa ludzi, znów się jej zachciało być przez nich ogladaną, podziwianą, poklepywaną po kudłach. Tak to czasami i w zwierzęciu, pozbawionem duszy rozumnej, siedzi iście ludzka żądza „zadziwienia, nie zbawienia świata”.

Obok skraju wsi, na polu, dostrzegła Baśka poruszające się na tle śniegu czarne postaci. Poszła wprost ku nim.

A był to ojciec Wawrzon, gospodarz stateczny, z synami. Rozrzucił przy ich pomocy gnój na swym zagonie.

Dojrzał niebawem idącą ku chałupom niedźwiedzicę. Przysłonił dłonią oczy i miarkował,

co za dziw tak wprost na niego naprzelaj polem idzie. Zmiarkował wreszcie, że musi to być Baśka, wiedział o niej ze słyszenia.

- A spojrzjta – no chłopcy, – rzekł do synów. – Galanty zwirz do nas wali. Pedają ludzie, że naskie legjony przywiezły ją z tego ich tam jakiegoś Murmanu, co to gdzieśik wedle samej Ameryki leży, albo i dalej. Długo wieźli, morzami i suszą, bezmała rok czasu, na wielgi podziw całemu światu. Gadają, że sam król jangielski dziwował się okrutnie; jak ją zobaczył, jaże gęba się mu ozdarła od ucha do ucha, a królowa z własnej ręki marcepanami toto karmiła. A w Warszawie sam nasz pan Naczelnik za rękę z nią się witał. Honorowali ją wszyscy, jako że rzadkość jest pono wielga. Nigdy jeszcze takiej nie było...

Baśka znajdowała się już na jedno strzelanie z rusznicy.

Ojciec Wawrzon w kupę dymiącego ciepłem gnoju wsadził na sztorc widły i wsparł się na nich oburącz. W tej postawie, przy tradycyjnej czynności polskiego kmiecia, miał w sobie jakiś majestat wieków, powagę świętej ziemi, uznojonej, jak to się mówi, łzami i potem Ludu, jednym słowem: „miał w sobie coś z króla Piasta i – basta !”

Długo oglądał zbliżającą się niedźwiedzicę, aż wreszcie rzekł;

- Ale mnie się widzi, że będzie z niej bardzo zacne futro dla Maryśki, wedle tej mody, jak się noszą francuskie oficery w Warszawie, sierścią na wierzch...
- Sprawiedliwie mówicie, ojcze ! – odrzekli trzej synowie, parobczaki naschwał, z których dwaj starsi zdezerterowali² świeżo z wojska.

A Baśka szła wprost do nich, ucieszona, że znów widzi ludzi, wezbrana ową wielkopańską łaskawością dla wszystkiego i wszystkich, którą od niejakiego czasu miała nawet dla nieznajomych. Ufała tym ludziom, trzymającym ostre widły w rękę;

Przecie w tym kraju nikt jej dotąd żadnej krzywdy nie wyrządził, owszem, wszyscy podziwiająć, kochali.

Gdy podeszła na odległość kilku kroków, ojciec Wawrzon przeżegnał się pobożnie, splunął w garść i zagrmiał na synów:

- Chłopcy do wideł ! Rrrraz !...

Zakotłowało się na śnieżnym polu. Wrzask czterech chłopów, mordujących Baśkę, wywabił ludzi z pobliskich chałup. Sypnęli się wkrótce ku Wawrzonowi z pomocą, chwytając, co było napodórędziu.

Baśka tak się zdumiała niespodziewanym napadem, że nawet nie próbowała się bronić. I zginęła, skłuta widłami, bez najmniejszego oporu, jak łagodna sarna.

Zabrano się wnet do zdzierania cennej skóry. Zbiegły się psy wiejskie i zlizywały krew, przelaną na śniegu.

W trakcie tego nadbiegł Smorgoński z towarzyszami. Ledwo nie utonęli, przebijając się łodzią przez gęstą krę, lecz pomimo to nie zdążyli na czas, by uratować Baśkę. Zdumienie i żal straszny, na widok tego, co się stało, zdjęły żołnierzy i tak ich przygnębiły, że nikt z nich na razie nawet nie pomstował i nie skłął chłopów, jak na to zasłużyli.

Smorgoński rzekł tylko:

- Bodaj wam ręce i nogi połamało na równej drodze za to, coście z nią zrobili, takie

syny. Ale, wola boska, stało się i nie odstanie. Oddajcie ją nam przynajmniej, tak jak jest...

I zapłakał łzami, grubemi jak największy groch. Lecz ojciec Wawrzon, dalej zdzierając kozikiem skórę z zabitej Baśki, otarł tylko krwawą ręką uznojone czoło i odpowiedział:

- A niedoczekanie wasze! Nie znacie prawa pisanego? Moja jest, bom ją z narażeniem miłego żywota na własnym groncie upolował. Nie dam!
- Twardy jest naród tutejszy! – zawołał na taką odpowiedź zdesperowany Smorgoński.
- Niema co, chłopaki. Do broni!...

Na to hasło żołnierze rozgrodzili w okamgnieniu pobliski płot, gdyż karabinów ze sobą nie wzięli, i na łbie ojca Wawrzona i jego synów, i kumów, i sąsiadów, wypisali ze wściekłością, – z furją jakoby całego bataljonu, rzucającego się wręcz do ataku z nastawionym bagnetem, – swoje murmańskie, niezawodne, idące przed wszelkiem innem prawem, wojenne prawo.

Zaczem Baśkę, odbitą z chłopskich rąk, włożyli na te same kije, którymi pokonali chłopów, i ponieśli ją ku łodzi, zostawionej przy brzegu, struci żalem i smutkiem, jak na pogrzebie rodzonej siostry.

Tego dnia przy raporcie wieczornym kapral Smorgoński meldował Dowódcy Baonu, pułkownikowi Skokowskiemu:

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że tutejsze polskie chłopcy rozparcelowali dzisiaj naszą Baśkę na flaki... żeby Pan Bóg skarał ich ciężko za naszą krzywdę i sieroctwo!
- ...

Taki był żywot i niewinna śmierć białej Niedźwiedzicy Murmańskiej, o której wdzięczna pamięć żyje w sercach trzystu murmańczyków i nie zaginie do grobowej deski, albowiem był to naprawdę bardzo piękny i strasznie kochany zwierz.

KONIEC.





MURMAŃCZYK.

Szeregowiec naszej bohaterskiej armii polarnej w pełnym uzbrojeniu i odzieniu, dostosowanym do klimatu archangielskiego.
W rysach twarzy i w oczach wypisana kronika nadludzkich trudów, epickich placówek w śniegach i mrozach, niepojętych marszów po bagnach i tundrach
Fot. Saryusz-Wolski.

Artur Oppman (Or-Ot)

Murmańczyk

*Murmański żołnierz jestem,
Znaczony krwawym chrzestem
W dwudziestu polach bitwy
Marzę o żółtych piaskach
Naszej Polski i Litwy*

*Z mroźnego Archangiela,
Gdzie pustkę śnieg wybiela
Zastygłym śmierci kwiatem
Mknie do was myśl skrzydlata
Z szumnym wichrem co wzlata
Nad morzem lodowatym!*

*W mrokach nocy zimowej
Śni mi się próg ojcowy
I Ojczyzna daleka.
Polsko! żołnierz murmański,
Bezdomny i bezpański,
Rozkazu twego czeka!*

*Tu polski grób przy grobie!...
Skiń – a będziem przy tobie!
A kiedy wracać mamy:
Garść ziemi z mogił weźmy...*

*Pamiętaj, że jesteśmy!
Pamiętaj, że czekamy!...*

Drogi Czytelniku,

Karty historii Twierdzy Modlin są zapisane wieloma barwnymi opowieściami. Wiele z nich jest nam dobrze znanych, inne – mimo, iż równie interesujące – nadal czekają na swój czas. Jedną z takich historii są niewątpliwie dzieje Baśki Murmańskiej – białej niedźwiedzicy, która z odległych krańców Rosji przybyła wraz z wojskiem do modlińskiej twierdzy. Swego czasu miała nawet okazję poznać osobiście Marszałka Piłsudskiego i, jak głosi legenda, nawet przed nim salutowała.

Skąd w Twierdzy biała niedźwiedzica? W 1919 roku na rosyjskim targu kupił ją polski żołnierz. Chciał w ten sposób zaimponować kobiecie, o której względy konkurował z włoskim kapitanem. Nie przewidział jednak, jak daleko idące skutki może mieć to zdarzenie. Baśka zadarła z psem dowódcy wszystkich wojsk Ententy na Murmanie. W efekcie przydzielono ją do Baonu Wojska Polskiego (zwanego Baonem Murmańskim) jako „córkę regimentu”. Tam została wytresowana przez jednego z kaprali i z czasem stała się jednym z żołnierzy, zachowującym się jak oni. Wraz z nimi przyłynęła parowcem do Gdańska, a stamtąd trafiła do Twierdzy Modlin. Tu wraz z wojskowymi zamieszkała i zażywała kąpieli w wodach miejscowych rzek. Niestety, smutno zakończyła swe pełne przygód życie... ale o tym wewnątrz broszury.

Losy Baśki spisał Eugeniusz Małaczewski w książce „Dzieje Baśki Murmańskiej. Historia białej niedźwiedzicy.” Ukazały się one w 1925 roku nakładem wydawnictwa Gebethnera i Wolfa w siedmiu miastach: Warszawie, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Poznaniu, Wilnie, Zakopanem. Aby ocalić od zapomnienia tę niezwykłą historię wydajemy ją ponownie staraniem Miasta Nowy Dwór Mazowiecki i Lokalnej Organizacji Turystycznej Trzech Rzek.



*Szczęśliwego
Nowego Dworu!*

www.nowydwormaz.pl



3 RZĘKI
Lokalna Organizacja
Turystyczna
Trzech Rzek